

Polityka historyczna? Dla mnie nie, dziękuję.

MARCIN KULA

Przeczytałem najpierw artykuł prof. Ryszarda Stemplowskiego *Ostrożnie z historią* („PAUza Akademicka” nr 335), następnie zaś polemikę z nim pióra prof. Lucjana Suchanka (*Ostrożnie nie z historią, lecz z autorami piszącymi o historii*, „PAUza Akademicka” nr 336). Nie mam takiej wiedzy z zakresu zagadnień państwa i prawa, jak prof. Stemplowski, ani takiej pewności siebie, jak jego polemista. W kontekście tej dyskusji pragnę jednak sformułować kilka obaw, jakie żywię jako historyk wobec „polityki historycznej”, zarówno *in abstracto*, jak w kontekście jej obecnej realizacji. Sądzę, że pismo akademickie może udostępnić łamy dla takiego tematu – zwłaszcza że „polityka historyczna” zajmuje coraz więcej miejsca w działalności historyków-naukowców. Oczekuje się od nas aktywności w takim kierunku. W Instytucie Pamięci Narodowej, czyli głównym realizatorze owej polityki, pracuje wielu liczących się historyków-naukowców; także ich orientacja nie jest obojętna dla środowiska. Postanowienia podejmowane w zakresie nazw ulic, czyli typowe dla „polityki historycznej”, konsultuje się ze środowiskami uczelnianymi. Tak przynajmniej podała prasa.

Pierwszy mój niepokój płynie z pomieszania ról historyka oraz polityka przy realizacji „polityki historycznej”. Polityka pozostaje polityką – nawet jeśli historyczną. Oczywiście, jeśli ktoś – także historyk – chce być politykiem, to jego wybór, ale niech wtedy nie udaje, że jest naukowcem. Może z dorobku nauki korzystać, ewentualnie może do nauki kiedyś wrócić, ale niech nie udaje, że jest w niej w tym samym czasie aktywny. To są role niekompatybilne. Z kolei historyk-naukowiec najczęściej ma jakieś sympatie polityczne – ale raczej powinien starać się zmniejszać ich wpływ na własną pracę, nie zaś świadomie i celowo służyć jakiemuś kierunkowi w swoich badaniach. Znane przykłady mieszania historiografii i polityki były na tyle fatalne, że powinny skutecznie przed tym przestrzegać.

„Polityka historyczna” przyznaje wielką rolę państwu. Jasne, że pewną rolę musi ono spełniać. Na badania i rozpowszechnianie wiedzy płyną pieniądze z budżetu, mocą państwowej decyzji obchodzi się pewne rocznice itd. Wolałbym jednak, żeby rola państwa w tych sprawach była raczej zmniejszana – i ograniczane pole jego interwencji – niż powiększana.

Mój kolejny niepokój płynie z tego, że „polityka historyczna” nie jest tylko działaniem na rzecz zwiększenia wiedzy historycznej społeczeństwa. Gdyby tak było, to akceptowałbym ją. Owa wiedza jest przecież znikoma, sprowadza się do informacji o paru symbolach, które służą za alfabet komunikacji społecznej. Przez wiele lat prowadziłem zajęcia dla studentów kierunków innych niż historia i wiem, co mówię. „Polityka historyczna” promuje jednak nie wiedzę, lecz określoną, jedną wizję historii, nieraz wybiórczą lub odpowiednio umeblowaną. Kto decyduje, jaka to wizja? Na jakiej podstawie ma być decydowane, jaka wizja obowiązuje, a przynajmniej, jaką się

promuje? Czy na podstawie tego, że nie lubi się jakiegoś polityka i jego tradycji, lubi zaś innego? Dlaczego ma być jedna wizja? W historii znacznie łatwiej powiedzieć, co jest fałszem, niż co jest prawdą. Wizje pozostaną różnorodne i to jest naturalne, nawet – zaryzykuję – pożądane. Jedną wizję historyczną można uzyskać tylko w państwie totalitarnym. W dziejach najnowszych przerabialiśmy już to. Z góry dziękuję.

„Polityka historyczna” zmierza do pokazywania zjawisk i ludzi wyraźnie, jasno, jako dobre/dobrych lub złe/złych, jako czarne/czarnych lub białe/białych. Tymczasem, choć trudno negować, że zdarzają się zjawiska jednoznacznie złe i ludzie jednoznacznie źli, to przecież najczęściej sytuacja nie jest aż tak klarowna. Historyk powinien raczej starać się pokazać niuanse, skomplikowanie, wieloznaczność obrazu, trudność sądu. Powinien pokazać, że w konkretnej sytuacji dany fakt może mieć inne znaczenie niż w innej, że w niektórych sytuacjach nawet relatywnie drobne działanie może urastać do znaczącego czynu i odwrotnie. Powinien starać się zrozumieć, nie osądzać. Historyk nie jest ani prokuratorem, ani sędzią. W wielu wypadkach prawdziwy sąd odbędzie się zresztą nie na tym padole – jeśli oczywiście się odbędzie (w co ja akurat wątpię).

„Polityka historyczna” bardzo wiele zjawisk wyprowadza z ich genezy. Geneza jest oczywiście ważna, ale nie przesądza, a w każdym razie nie musi przesądzać dalszego biegu zjawisk. „Polityka historyczna” jest formą uprawiania mocno tradycyjnej historii. Myśli o chronologicznej faktografii, a nie o zjawiskach. Długie trwanie interesuje ją specyficznie: nie w zakresie zjawisk cywilizacyjnych, lecz zjawisk pozytywnych i negatywnych, np. powoływania z sensem i bez sensu wątku zdrady w dziejach Polski.

„Polityka historyczna” podkreśla potrzebę kulturowania historii jako elementu i zarazem instrumentu kształtowania tożsamości narodu. Pomińmy, że są kraje, które budują tożsamość na innych czynnikach niż historia, albo muszą dopuścić różne wizje historii, także ewolucję wersji kanonicznej, właśnie w imię utrzymania jedności obywateli państwa. Pomińmy, że choć Unia Europejska z pewnością reprezentuje nie tylko same wspaniałe rzeczy, to jednak żaden naród jeszcze nie roztopił się w europejskiej masie. Ciekawsze jest, z czego płynie tak silna potrzeba podkreślania tożsamości w wypadku narodu, który przetrwał tysiąc (teraz dokładniej: 1050) lat? Jeśli zaś traktować historię jako instrument budowania tożsamości, to warto pamiętać, że ewentualnie działa on bardziej poprzez czynienie tych samych spraw ważnymi dla wszystkich niż poprzez jednolitą wizję. Wspólna historia Polaków obejmuje powstania narodowe, ale wcale niekoniecznie takie samo ich widzenie.

„Polityka historyczna” ma tendencję do hagiografii wobec własnego kraju, chce pochwał, nie znosi przypominania faktów nagannych z punktu widzenia długofalowej

► skali wartości lub choćby dziś negatywnie postrzeganych. Grozi stawieniem przed sądem za obrazę narodu. Powtarza wątek o zasadności i potrzebie dumy z dziejów własnego narodu. Otóż nie wiem, czy trzeba być aż dumnym z nich. Osobiście wolałbym postawę pociągającą przemyślenie historii, refleksję, badanie, zwątpienie. Chciałbym, żeby studenci uczyli się nie tyle wielbić własne dzieje, ile dyskutować je w oparciu o zasadne argumenty. To by się im bardziej przydało intelektualnie – *notabene* także w podejściu do współczesności, która jest wszak częścią historii. Dumny z własnych dziejów może być zresztą praktycznie każdy naród, bo każdy znajdzie jakieś własne osiągnięcia.

Zastanawiam się, skąd płynie ta potrzeba ciągłego wzywania do dumy? Obawiam się, że rodzi się z jakichś kompleksów. Jest kompensacją. Tylko skąd te kompleksy? Co chce kompensować naród, który przetrwał tyle prze-

ciwieństw i nie ma więcej powodów do zmartwień niż jakikolwiek inny w okolicach? Czy może nierozsądnie wysoko stawia sobie poprzeczkę?

Ani społeczność, ani człowiek indywidualny, na ogół nie czują potrzeby powtarzania, „jaki jestem wspinały”. Nie myślą wciąż z żalem, że inni ich nie doceniają. W życiu codziennym rzadko akcentujemy, że byliśmy pierwsi, podczas gdy inni to młokosy. Oczywiście, przyjemniej być docenianym niż niedocenianym, ale ciągłe poczucie niedowartościowania jest niepokojące. Nie wiem, czy powtarzanie w ZSRR za Stalina – by sięgnąć do działań nieporównywalnie większej skali – że kolejnych wynalazków faktycznie dokonali Rosjanie, płynęło z samej wielkomocarstwowości, czy z wielkomocarstwowości podminowanej kompleksami. Tak, czy inaczej, było jednak tragiczne – nawet gdy momentami także śmieszne.

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (*profesor emeritus*)
Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza
w Warszawie

Łowcy grantów – listy (cd.)

Od: Iwo Białynicki-Birula – Do: Michał Nawrocki

W odpowiedzi Michałowi Nawrockiemu

Po wyrażeniu mojej opinii (a nie orzeczenia!) nie miałem zamiaru kontynuowania dalszej dyskusji na temat „łowców grantów”, pozostawiając innym pole do działania. Uznałem jednak, że nie mogę pozostawić bez komentarza zarzutów pod moim adresem, które znalazły się w następującym zakończeniu tekstu umieszczonego na forum dyskusyjnym Wydziału Fizyki UW, a następnie wydrukowanego w poprzednim numerze „PAUzy” (337):

Ale musimy walczyć uczciwie i w sposób godny naszego środowiska. Nie możemy pozwolić sobie na ogólne zarzuty i pochopne, często wynikające z braku informacji oskarżenia. Łatwo w ten sposób skrzywdzić i zniechęcić często najzdolniejszych spośród naszych kolegów, łatwo sprowokować, oparte na zawiści, populistyczne reakcje świata zewnętrznego, których skutki mogą być dla nas dramatyczne.

Wyjaśniam mojemu adwersarzowi, że o nic w sposób nieuczciwy i w dodatku niegodny naszego środowiska nie walczę. Nie stawiam też nikomu zarzutów i nikogo

nie oskarżam (od tego jest pan Zbyszek). Mam natomiast szczegółowe informacje, które posłużyły do wyrażenia mojej opinii na temat pewnych patologii w funkcjonowaniu systemu grantowego.

Nie uważam bynajmniej, że pieniądze na badania powinny być rozdawane równomiernie, bo „wszyscy mają jednakowe żołądki”. Pomędzy całkowitą *urawniówką* a finansowaniem uczestnictwa tej samej osoby jednocześnie w sześciu grantach jest jeszcze ogromne pole do manewru. Zwolennikom niczym nieograniczonej kumulacji grantów chcę zwrócić uwagę, że obowiązuje prawo zachowania pieniędzy przeznaczonych na granty. Prawo to działa w ten sposób, że każdemu przypadkowi nadmiernej łapczywości muszą towarzyszyć przypadki osób, które były następne w kolejce i dla których już zabrakło pieniędzy. Nie sądzę, iż osoby te były sześć razy gorsze o naszego rekordzisty. W dodatku nie znaleziono dotąd bezbłędnej metody ustalenia jedynie słusznej kolejności wniosków grantowych.

Tezy o prowokowaniu wrogich „reakcji świata zewnętrznego” gdzieś niedawno już słyszałem. Brakuje tu tylko słówka „donos”.

IWO BIAŁYNICKI-BIRULA

Uniwersytet Warszawski
(*profesor emeritus*)